ŚWIATOWID

7-go MARCA 1936 R.
NUMER ZAWIERA
24 STRON DRUKU
CENA 60 GR.
W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.20.
PRINTED IN POLAND

KOLEJKA LINOWA W TATRACH



Wagonik kolejki linowej, zbliżający się do stacji na Myślenickich Turniach.

Ag. Fot. „Światowid".

PRZEZ TRUPY
DO WŁADZTWA NAD AZJĄ.

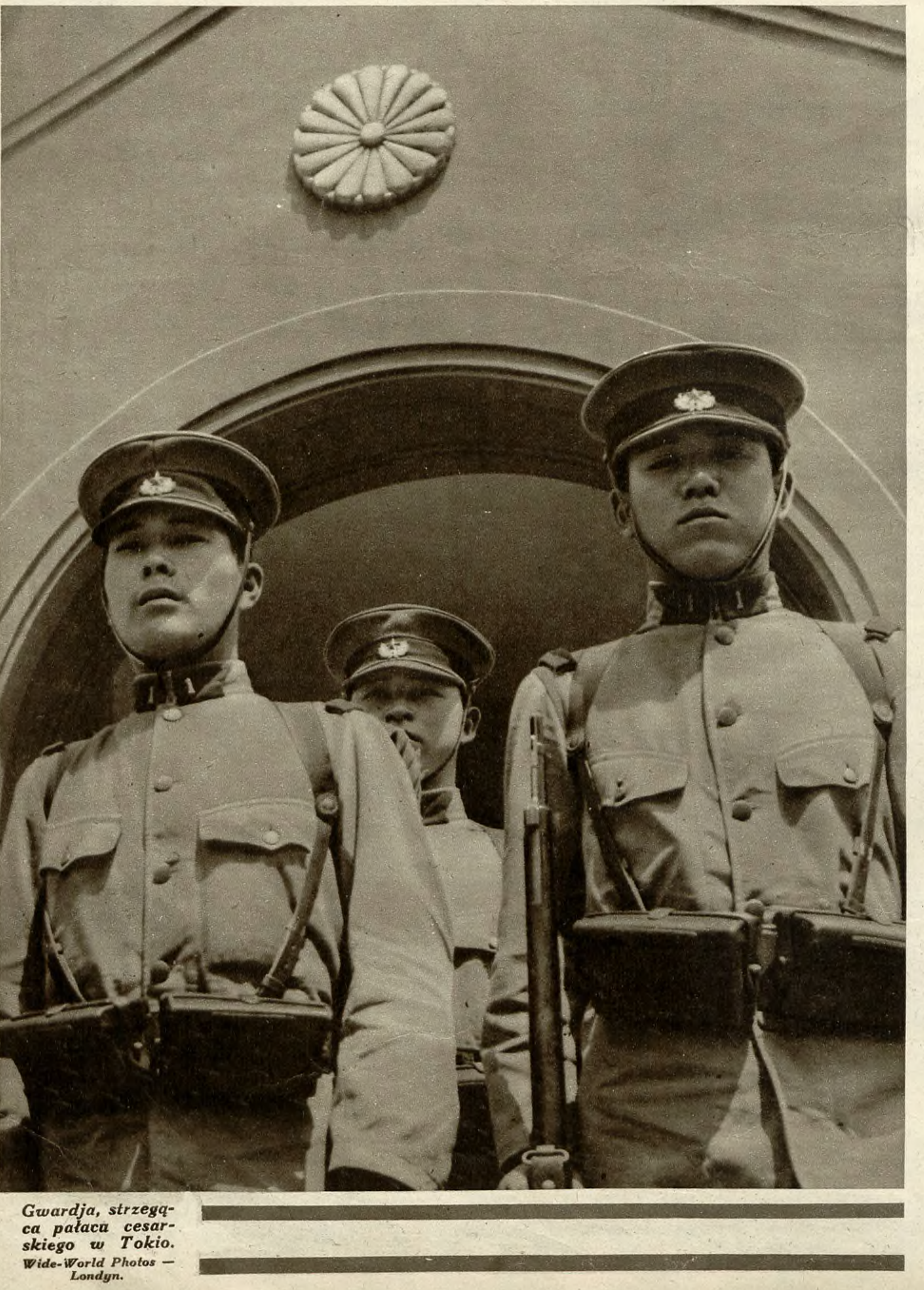




Jeden z bezimiennych żołnierzy, zabitych na szlaku zwycięstw japońskich w Chinach, które Japonję prowadzą do władztwa nad Azją.

Minister wojny Hayaszi w gabinecie Okada przeprowadził wielkie zmiany personalne na wyższych stanowiskach w armji, usuwając zwolenników gen. Araki i tem przyczynił się do wybuchu rewolucji wojskowej.

Keystone, Berlin.



Gwardja, strzegąca pałacu cesarskiego w Tokio.

Wide-World Photos — Londyn.

W Japonji dokonała się „zmiana gabinetu" — zaiste niezwykłą drogą. Trzech ministrów usunęło się ze swoich foteli, a zarazem wogóle z tego świata. Dopomogli im do tego uprzejmie młodzi ludzie w mundurach oficerskich, w asyście oddziałów uzbrojonych żołnierzy. Czy były przytem „w robocie" szable czy rewolwery — depesze na razie nie mówią; dość, że ministrów, którzy „przeszkadzali", usunięto gruntownie. Przytem „akcja" miała być znacznie szersza — zamachowcy chcieli usunąć aż siedmiu najwyższych dygnitarzy państwowych. Lecz czterem udało się dziwnemi drogami i podstępami ocalić — „rekonstrukcja" drogą zamachu okazała się niekompletną.

Zamachowcy nie uważali się bynajmniej za buntowników. Szli zabijać członków cesarskiego rządu w imię — cesarza. „Na obronę mikada" poprowadzili również tych sześciuset żołnierzy z 3-go pułku piechoty z Osaka, który miał właśnie jechać z Tokio do Mandżurji na front i z tej racji otrzymał ostre naboje do karabinów. Zamiast na dworzec, żołnierze pod wodzą kilkunastu należących do spisku oficerów — na ulicy zawrócili i poszli zdobywać gmachy prezydjum rady ministrów i inne siedziby wysokich urzędów. Zdobywać, a względnie tylko obsadzać, gdyż poważnego zbrojnego oporu zamachowcy nigdzie nie napotkali.

Cóż to był za spisek i co za zamach? Jakiegoś nieokreślonego bliżej stronnictwa „młodych oficerów" — formalnie. Faktycznie zaś organizacji daleko bardziej sposępnej i niesłychanie potężnej, na czele której stoi „tajemniczy starzec Japonji", Tojama.

Organizacja ta istnieje dawno i od czasów powojennych trzyma w strachu wszystkie rządy japońskie. Od r. 1921 po 1935 ciągnie się łańcuch zamachów jej członków na samych premjerów, ministrów i wysokich dygnitarzy, ginących kolejno od szabli lub kuli. Ostatnią ofiarą był generał Nagata.

Wykonawcami wszystkich zamachów byli młodzi wojskowi — kadeci lub oficerowie. W tym charakterze i w imieniu „młodej armji" występują — lecz wszyscy wiedzą, że wysłał ich właściwie „Czarny Smok", którego wodzem jest Tojama.

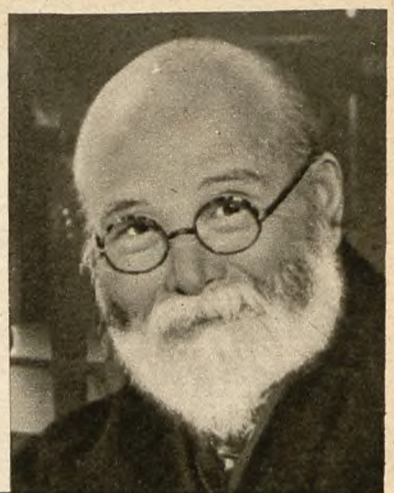
„Czarny Smok" jest organizacją stawiającą sobie wielkie i dalekie cele: wykonanie „wielkiego planu" ekspanzji japońskiej, która ma dać państwu mikada władztwo nad całą Azją. Oczywiście plan ten ma się urzeczywistnić orężem. Kto zaś w jakikolwiek sposób staje na drodze wykonaniu „wielkiego planu", tego usuwa się w krótkiej a niezawodnej drodze ze stanowiska urzędowego, wykreślając go z listy żyjących.

Lecz właśnie tak się składa, że od 15 lat na drodze tym planom stają premjerowie i ministrowie każdego prawie pokolei powoływanego w Japonji gabinetu.

Nie dlatego, aby nie chcieli oni największego wzrostu potęgi japońskiej, lecz dlatego, że widzą do tego inne drogi. Przedewszystkiem nie trzeba się spieszyć — mówią ci doświadczeni mężowie stanu — a następnie: na każde przedsięwzięcie trzeba mieć środki. Podbój całej Azji jest przedsięwzięciem kosztownem. I tak już na armję idzie połowa całego budżetu japońskiego — na większe jeszcze zbrojenia niema pieniędzy. Trzeba się dalej tych pieniędzy dorabiać — a Japonja ze swym rozmachem przemysłowym, handlowym jest do tego na najlepszej drodze. Lecz młodzież i wojskowi nie lubią czekać, nie lubią liczyć — i dlatego idą po trupach do celu.







OFIARY TERORU POLITYCZNEGO W JAPONJI.

Premjer Hamaguczi, zastrzelony na dworcu w Tokio dn. 14 XI. 1930 r. na znak protestu przeciwko przystąpieniu Japonji do waszyngtońskich układów morskich. Presse-Photo Berlin.

Premjer Inukai, zamordowany dn. 15 V. 1932 r. przez spiskowców wojskowych, na znak protestu przeciwko panamie w kolejnictwie japońskiem. Keystone. Berlin.

Premjer Okada uniknął cudem śmierci, ukrywszy się w metalowym kufrze, gdy spiskowcy wtargnęli do pałacu. Scherl, Berlin.

B. premjer Saito, zaatakowany i znieważony przez spiskowców, ceniąc honor ponad wszystko popełnił harakiri. Scherl Berlin.

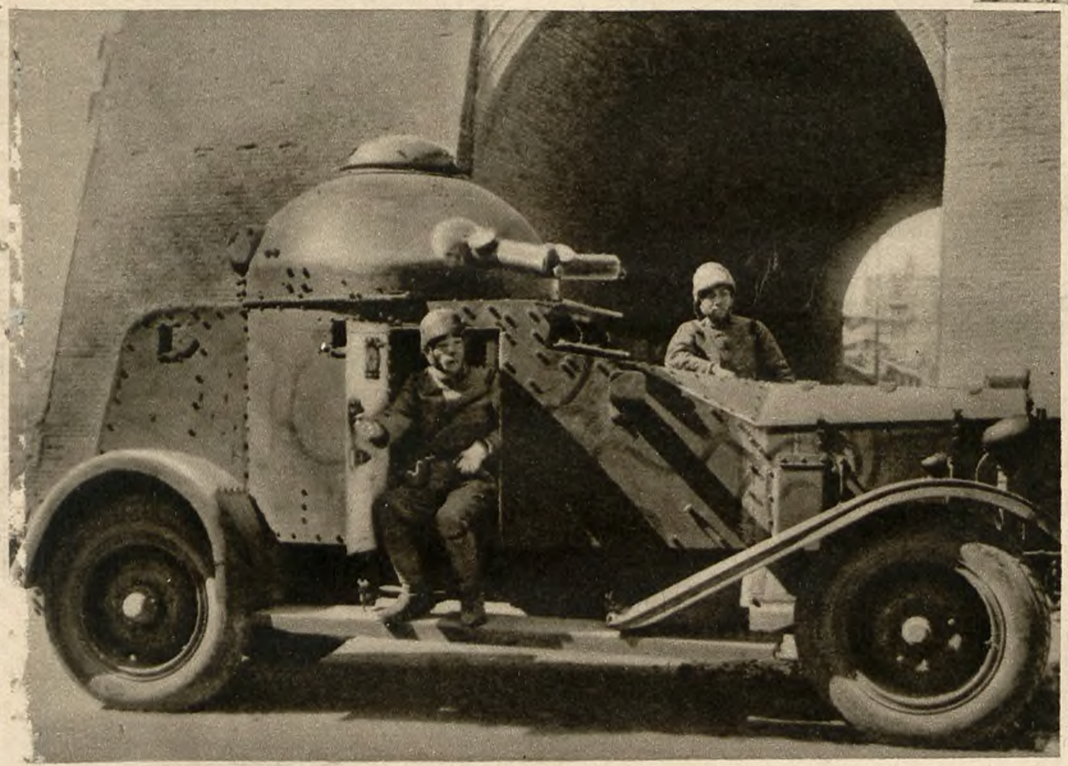
B. premjer, min. finansów w gabinecie Okada, Tamahaszi, zamordowany przed kilku dniami na znak protestu przeciwko oszczędnościowej polityce, jaką zapoczątkował, obcinając wydatki na wojsko. Scherl, Berlin

Obecny zamach miał przebieg i koniec dziwny. Przez parę dni zamachowcy zajmowali gmachy rządowe i pertraktowano z nimi. Wysłano przeciw nim gwardję cesarską — lecz ta nie rozpoczynała bitwy. Potem przyjechała z pełnego morza eskadra floty wojennej — zamachowcy zamordowali dwóch admirałów — pancerniki wycelowały działa na miasto, piechota marynarki wysiadła na ląd... Zamachowcy poddali się, przywódcy buntu popełnili harakiri.

Obecnie mikado w ciągłych konferencjach „tajnej rady" poszukuje odpowiedniego nowego premjera i układa listę ministrów nowego gabinetu. Gabinet musi wszystkim dogodzić: i wojskowym i przemysłowcom i parlamentowi. Ale nominacji premjera dokona po staremu 90-letni książę Sajondzi, najstarszy z „Rady Starych", patrjarcha najpotężniejszego z czterech feodalnych rodów, które od setek lat właściwie rządzą Japonją. St. M.



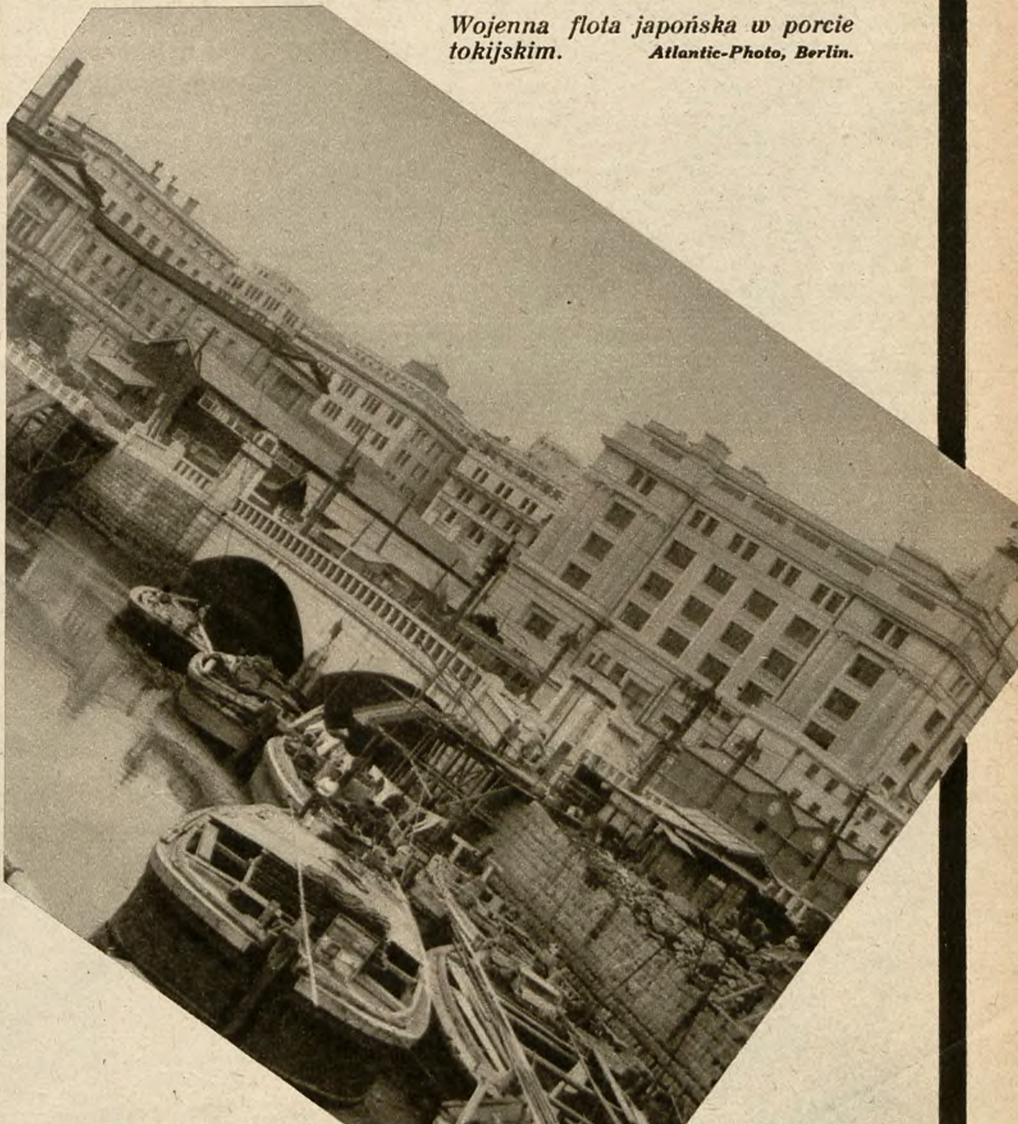
Wojenna flota japońska w porcie tokijskim. Atlantic-Photo, Berlin.



Japoński automobil pancerny.



Żołnierze sowieccy z pogranicza Mongolji, gdzie niebawem rozegrają się zapewne ważne wypadki, ze względu na to, że nacjonaliści japońscy zamierzają zaatakować Związek Sowiecki. Fot. International Press Photo-Service — Warszawa.



Fragment dzielnicy w Tokio, która została obsadzona przez zamachowców Sport & Feneral, London.

Pierwsza moja podróż kolejką linową w Tatrach

Sezamie otwórz się! — krzyknięto w Tatrach. .

Podobno masowo ginęły owce na Myślenickich Turniach, najadłszy się... opiłek żelaznych. Potruły się i leżały pokotem. Tak pisała część prasy sugerowanej przez t. zw. „ochroniarzy". Powoływano się na możliwie najpoważniejsze osoby, poto tylko, aby włożyć w ich usta najzupełniej karkołomne twierdzenia.

Wszystko to było tematem moich rozmyślań, kiedy przygotowywałem się do podróży straszliwej i poczętej w chwili dziwnego rozprzężenia umysłowego. Mianowicie postanowiłem wziąć udział w wycieczce dziennikarskiej na kolejkę na Kasprowy.

Pozatem należałem do „weteranów" kolejkowych. Swego czasu bowiem jechałem już austrjacką kolejką linową na Rax. Przeto moja mina była pełna godności i spokoju — nie tak, jak miny niektórych moich kolegów. Ta determinacja, pokrywana dowcipami!

Inna rzecz, że w miarę podróży naszej do Zakopanego, coraz mniej widziałem determinacji, a coraz więcej słyszałem dowcipów. Bo, odskakując od rzeczy powiem, że ktoś kiedyś w jakiejś powieści, albo nawet — bądźmy współcześniejsi — w jakimś filmie, powinien dać przekrój owego niesłychanego widowiska (i słuchowiska zarazem), jakiem jest wagon, wiozący wycieczkę dziennikarską. A jeśli dodamy do tego obecność kilku pań — to doprawdy wspomnienie, że klękajcie narody...

Tak więc wśród kawałów, w których tworzeniu i to tworzeniu błyskawicznem dzierżyli prym red. Stankiewicz, Wasilewski z „Wróbli na Dachu" Zechenter (ze wszystkich pism „I. K. C." łącznie z „Kuryerem Kobiecym" na czele), zdążaliśmy ku Zakopanemu. Ostatecznie, kiedy tam przybyliśmy, nikt nie mógł doczekać się chwili, kiedy wyruszy do Kuźnic i żałował, że jest noc! Stara żyłka włóczęgowska sprawiła, iż powłóczyliśmy się po niektórych lokalach zakopiańskich, w których przeważnie tak było pełno, iż wizyta nasza w nich polegała właśnie na stwierdzeniu... że jest pełno.

Wreszcie rano podróż autobusem do Kuźnic. Och, te drogi zakopiańskie! Nawet owa reprezentacyjna ulica w centrum tego uzdrowiska! Prawdopodobnie jest to... mapa plastyczna Tatr. Tylko czemu, do licha, ta mapa udaje szosę? Myśmy szczękali zębami, autobus szczękał nami. I tak dojechaliśmy na miejsce.

Piękny budynek, który czemprędzej zwiedzamy. Przyjmuje nas naczelnik Szelichowski z min. komunikacji, p. Lachmann z kierownictwa budowy i inż. Platte kierownik ruchu. Pokazują nam urządzenia stacji w Kuźnicach, ale, ażeby ujrzeć najważniejszą część: maszynerję, musimy znaleźć się na „Myślenickich Turniach", na stacji łącznikowej kolejki na Kasprowy.

Już odrazu rzuca się w oczy, że powodzenie kolejki jest olbrzymie. Olbrzymi sznur autobusów, aut, dorożek i sań podciąga pod stację kuźnicką, a wewnątrz tłumy. Wszyscy cisną się do kasy. Jednem słowem imponująca kolejka do kolejki.

Kolejka jest otwarta dopiero drugi dzień. Ale już w pierwszy dzień, w sobotę, frekwencja była wprost imponująca. A jak się ludzie palili do tego nowoczesnego środka lokomocji!

Opowiadano mi o pewnym obywatelu, który kupował właśnie bilet w kasie, kiedy konduktor zapowiedział nową jazdę w górę. Obywatel ów zostawił legitymację, resztę z 20 zł i popędził schodkami na górę, aby tylko zająć miejsce wyznaczone zakupioną miejscówką.

Albowiem w razie silnego ruchu do każdego biletu kolejki linowej dodawana jest miejscówka.

Na nas przypada jazda nr. 14. Wychodzimy na peron. Oto, z dali po linie sunie ku nam wagonik. Za chwilę pasażerowie wysiądą, a my zajmiemy ich miejsce. Wagonik — jasne i tak lekkie napozór pudło — na kilkanaście metrów przed stacją zwalnia biegu, a potem bardzo pomału zbliża się do peronu.

— Sezamie otwórz się!

Taki tytuł dałem swojej krotochwili.

— Sezamie otwórz się! — powiedzieli Tatrom inicjatorzy kolejki na Kasprowy z wicemin. Bobkowskim na czele. Ale to, proszę państwa, nie jest krotochwila! To jest naprawdę piękna, europejska rzecz!

Jak zaznaczyłem, byłem już na Raxie. Przeto kolejka na Kasprowy nie była bynajmniej moim „chrztem" linowym. Daje mi zaś sposobność do czynienia porównań. I odrazu powiem: porównania te wypadają już teraz na korzyść naszej kolejki. Kiedy zaś kolejka w całości będzie uruchomiona, kiedy powiezie nas z Myślenickich na Kasprowy, kolejka na Raxie będzie wobec niej się przedstawiać, jak jakaś impreza raczej... lunaparkowa.

Lekki wstrząs na podporach, a potem płyniemy w górę. Coś, jak aeroplan, a nie aeroplan. Albowiem otacza nas nietylko piękno, ale i cisza. Cisza przerywana zresztą nazbyt może często przez zjadliwe wzajemne docinki wycieczkowców.

— Aaaaa!

Tak minął pierwszy wstrząs na podporze. I to „aaa" nie było najmniej dźwiękiem przestrachu — wprost przeciwnie, był to dźwięk zachwytu. Znamy takie „aaa", które wykrzykuje tłum na Wiankach przy każdej pięknej rakiecie, wystrzelonej w niebo.

Na trzeciej podporze mija nas wagonik, zjeżdżający z góry. Przez szybki celulojdowe posyłamy sobie pozdrowienia. Ale już nas nie interesują oni, ci wracający. Bo oto przed nami najpiękniejsza część trasy.

Pod nami stumetrowa przepaść. Śnieżny szlak, otoczony z obu stron lampasem lasu. Jesteśmy coraz wyżej. I otwiera się przed nami widok coraz szerszy, coraz piękniejszy. Śnieżą się szczyty i srożą Turnie. Góry stają się bliskie i stają się drogie.

— Jakto, już?

Chciałoby się tak jechać w nieskończoność. A oto już stacja Myślenickie Turnie.

I tu przepiękny, nowoczesny budynek stacyjny. Oglądamy jego urządzenia: olbrzymie maszyny, które obsługują dolną część trasy i drugą halę maszyn, które wkrótce podejmą ruch na odcinku Myślenickie Turnie — Kasprowy Wierch.

Podziwiamy ogrom wysiłku, podjętego przez budowniczych. Tysiące kilogramów materjałów trzeba było wieźć w górę, a sama lina, to przecież 38.000 kg. A ileż innych materjałów! Przecież trzeba było pokonać niezliczone wprost trudności przewozowe. Trzeba było je pokonać i zostały pokonane.

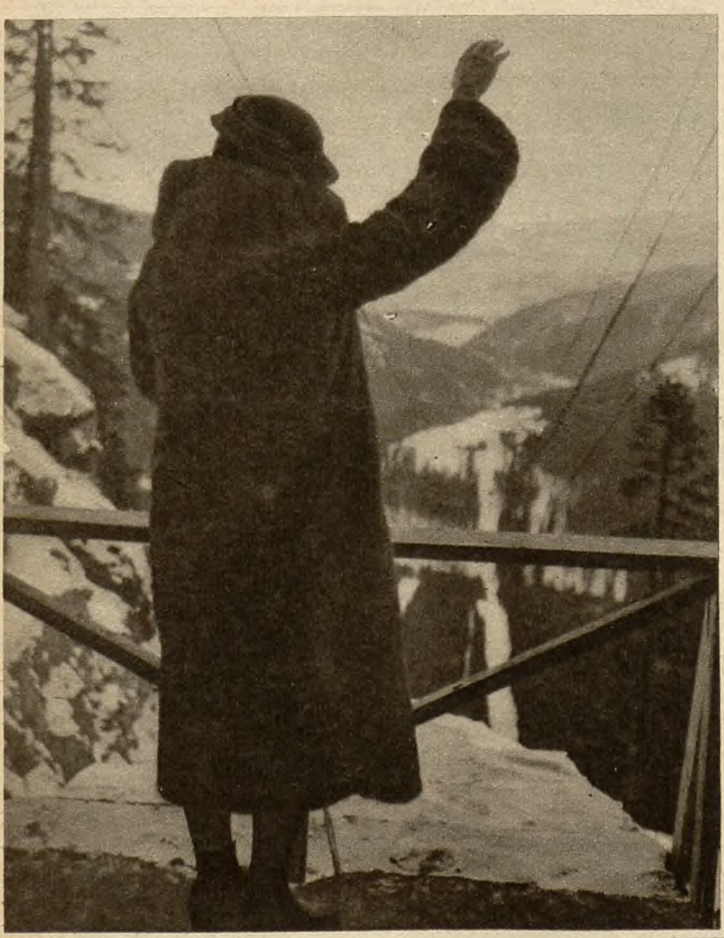
— Musimy jechać na Kasprowy...!

Tak się zwierza jeden drugiemu, albowiem wszyscy to samo myślą. W pewnej chwili z góry z Kasprowego zjeżdża na linie wózek roboczy. Już są omal, że kandydaci na podróż tym niebezpiecznym, bo prowizorycznym wehikułem. Pada jednak odpowiedź:

— To jest niemożliwe, wszelki ruch osobowy prowizorycznym wagonikiem jest zakazany.

Oglądamy przygotowane dla turystów pokoiki w budynku stacyjnym na Myślenickich Turniach.

— Tu pomieszkać choćby tylko tydzień — myślę



Na platformie przy budynku stacyjnym na Myślenickich Turniach, gdzie znajduje się stacja kolejki linowej.
Fot. A. Wasilewski, Kraków.



Dziennikarze krakowscy pod przewodnictwem redaktora Stankiewicza udają się autem ciężarowem z Kuźnic na Myślenickie Turnie.
Ag. Fot. „Światowid".

w skrytości ducha. Ba, ale już wkrótce jeden z moich kolegów zwierza się... z tem samem marzeniem.

Urząd pocztowy na Myślenickich już funkcjonuje. Jak tu nie skorzystać z tego? Odrazu kupuję kartkę, nalepiam znaczki i adresuję ją... do siebie samego do Krakowa. A potem piszę „tekst“:

„Mój drogi, wkrótce się zobaczymy“.

Nawiasem mówiąc, kartka przyjechała do Krakowa... później niż ja, tak dalece, że się zacząłem już o siebie obawiać... Niby, przez brak wiadomości.

Trzeba jednak powracać do Kuźnic. Piękna dotychczas pogoda zaczyna się zlekka psuć. Już najdalsze partje gór toną w mgle. Płyniemy znowu nad przepaścią, która istotnie jest najpiękniejszą częścią dotychczasowej trasy kolejki.

Towarzystwo jest już oswojone z atrakcjami kolejkowemi. Na pierwszą podporę czekają wszyscy, jak na chwilkę miłej emocji. Istotnie nadchodzi podpora, wagonik się chwieje, znów mijamy pasażerów, jadących innym wagonikiem w górę, i oto za parę minut jesteśmy na dole.



Wagonik kolejki linowej na stacji na Myślenickich Turniach. Obok konduktorzy tej kolejki w mundurach, zaprojektowanych przez art. mal. Mieczysława Różańskiego z Warszawy.



Wagonik zbliżający się od trzeciej podpory do Myślenickich Turni. Odcinek ten ma długości 997 m, przy najwyższem wzniesieniu nad ziemią 135 m. W dali widać Zakopane i Dolinę Nowotarską.

Ag. Fot. „Światowid“.

Tam czeka na nas, dziennikarzy, inna atrakcja. Mianowicie dla celów umożliwienia budowy kolejki wybudowano autostradę z Kuźnic na Myślenickie Turnie. Jest to wąziutka droga, po której może się odbywać ruch jednokierunkowy. Zbudowana jest niesłychanym wysiłkiem i ma wzniesienia dochodzące chwilami do 30°. Jeżeli zważymy, że największe wzniesienia szosowe wynoszą 12°, mamy pojęcie, jak stromá jest ta szosa.

I cto właśnie czekają nas pierwszorzędne emocje. Auto ciężarowe, opatrzone specjalnie silnym motorem wiezie nas w górę, ciągle w górę po stromych zboczach. Niektóre nasze towarzyszki dają wyraz przerażeniu. W pewnej chwili motor zatrzymuje się, a auto zaczyna się cofać. Jesteśmy nad zupełnie „przyzwoitą“ przepaścią.

— Widzisz, tam jest znajoma sosna, na której się zatrzymamy.

Pokazuję koledze sosnę rosnącą o jakieś 30 metrów pod nami. I dodaję: „Sosna żałosna, litosna itd.“

Usłyszawszy to, jedna z naszych towarzyszek znalazła się momentalnie na szosie, i niewielką zresztą część drogi przebyła już pieszo.

Tymczasem, myśmy znaleźli się znów na Myślenickich Turniach. Ale wówczas pogoda stała się dla nas już zupełnie niełaskawą. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Kuźnic, zacinał lekko deszczyk. Tu sypie mokry śnieg, ale góry toną zupełnie w mgle, białej jak mleko.

— A na Kasprowym musi być cudny śnieg... — powiada tęsknie jakiś narciarz.

Niestety kolejka na Kasprowy jeszcze nie gotowa. Kiedy zjeżdżamy stromą drogą, i kiedy znów (odwrotnie jak przedtem) śnieg zaczyna być coraz bardziej mokry, potem przemienia się w śnieg z deszczem, a potem spływa na nas już tylko sam deszcz, marzymy jedynie o tem:

— Obyśmy jak najprędzej wyjechali na Kasprowy.

Podróż sankami po błocie jest dość osobliwym sposobem lokomocji. No, tudno, na Maderze jeżdżą saniami po kamieniach.

W Zakopanem deszcze, a na Kasprowym przepiękny śnieg. Czy może być lepsza propaganda dla kolejki? A sama kolejka — toż to Europa, to naprawdę rzecz o dużym rozmachu, to otwierający się Sezam górski dla wielu, wielu ludzi, dla całej Polski.

— Ależ poczucie bezpieczeństwa jest zupełne — mówi jedna z pań głosikiem, jakby zlekka zawiedzionym.

Oczywiście. Emocje kolejki górskiej bynajmniej nie mają polegać na... poczuciu „niebezpieczeństwa“. Otworzyć one mają nam góry, zbliżyć je do nas i do nich.

— Jedna lina, druga lina, trzecia lina, wagonik, platforma itd. — to są przedsięwzięte środki bezpieczeństwa. Ależ na miły Bóg, czy Państwowe Koleje reklamują się w ten np. sposób:

— Wszystkie mosty na linji Kraków—Lwów są pewne.

Oczywiście, że nie.

W wagonie kolejowym, w drodze powrotnej, odrazu szepty konspiracyjne:

— Musimy zrobić wycieczkę na Kasprowy.

— Bo przecież to jest takie nowe, takie inne przeżycie. A ja osobiście nie wątpię, że wszyscy ekspasażerowie kolejki na Kasprowy utworzą nowy związek, który będzie się nazywał: „Związek ochrony przed „ochroniarzami“...

Anatol Krakowiecki.

DYKTATOR JAPONJI GEN. ARAKI



Oficerowie odnoszą się do gen. Araki z bałwochwalczą czcią, kornie schylając przed nim czoła w czasie odprawy.
Atlantic-Photo, Berlin.



Gen. Araki oddaje próbny strzał z nowego karabinu japońskiego na strzelnicy Jyonan pod Osaka.
The New York Times, Berlin.



Gen. Sadao Araki, członek Najwyższej Rady Wojennej japońskiej, inicjator wypraw japońskich do Mandżurji i innych prowincyj chińskich, nieprzejednany wróg Rosji, głowa stronnictwa wojennego.
Presse-Photo, Berlin



Gen. Araki przyjmuje w czasie manewrów przedstawicieli zagranicznych armij, m. in. dwóch oficerów polskich w rejonie Fukui. Zdjęcie z listopada 1933 roku.
Atlantic-Photo, Berlin.

Wśród wyższych oficerów japońskich, którzy faktycznie kierują losami swojej ojczyzny, nie oglądając się na gabinety i parlament, największym autorytetem cieszy się Sadao Araki, były minister wojny i członek Najwyższej Rady Wojennej.

Araki urodził się w 1878 r. jako syn ubogiego rolnika. Walcząc ciężko o kawałek chleba w 20 roku życia zajmował podrzędne stanowisko buchaltera w firmie owocowo-jarzynowej, czując się bardzo nieswojo w tej roli. W rok później zostaje powołany do służby wojskowej. Jest wzorowym żołnierzem, szybko awansuje i zdobywa szlify oficerskie.

Bierze udział w wojnie światowej i daje się poznać, jako świetny wódz. Znają go wszyscy, jako najznakomitszego fechtmistrza armji japońskiej i arcymistrza w dżudżitsu, którego jeszcze nikt nie pokonał.

Ten niepozorny człowiek, o żelaznych muskułach ma także żelazną wolę, którą przezwycięża wszelkie przeszkody. Jako syn ludu, zaczyna rozumieć, że przeludniona Japonja powinna zdobyć nowe obszary dla swojej ekspansji. Snują mu się po głowie plany rozbicia Chin, opanowania Mandżurji i Mongolji, a potem zaatakowania Rosji.

Rosji Araki nienawidzi. Powtarza jak Rzymianin Kato o Kartaginie, że Rosja musi być zniszczona. Aby poznać Rosję, uczy się jej języka, studjuje literaturę i staje się fachowcem na tem polu. Wyznaje bowiem zasadę, że, chcąc zniszczyć przeciwnika, trzeba go przedewszystkiem poznać.

Powoli autorytet Arakiego rośnie, starsi oficerowie, reprezentujący rody dumnych Samurajów, z uszanowaniem schylają przed nim czoła, młodzi przepadają za nim.

Jako generał kieruje Araki operacjami w Mandżurji. Zwycięża, druzgocze wojska chińskie, zagarnia olbrzymie obszary. Ale wielcy finansiści zaczynają sarkać na olbrzymie podatki, które pociąga za sobą wojna. Ujmują ster rządu. Dnia 15-go maja 1932 r. pada premjer Inukai z ręki zamachowca. Jest publiczną tajemnicą, że za tym zamachowcem stoi gen. Araki, który nie chciał, aby przez podłe intrygi zaprzepaszczano jego dzieło. Nie ulega wątpliwości, że także rewolwerami, które przed kilku dniami zostały wymierzone do ministrów japońskich, kierowała ręka Arakiego.

Od dwóch lat gen. Araki znajduje się na emeryturze, usunięty przez możnych wrogów. Ale wpływ tego dymisjonowanego z powodu „nadwątlonego stanu zdrowia“ generała jest nadal potężny i rozstrzygać będzie o losach Japonji.

NAJSTARSZY MONASTYR W POLSCE

W Ławrowie, dziś siedzibie gminy zbiorowej powiatu turczańskiego, w odległości kilkunastu zaledwie kilometrów od Starego Sambora, znajduje się monastyr O. O. Bazyljanów, mający wspaniałą tradycję. Nazwę Ławrowa wywodzą od „Ławrka“, dziadka ks. Lwa, który zbudował na górze w lesie cerkiew św. Iwana, gdzie spoczęły zwłoki jego, a potem i wnuka. Właściwy klasztor i cerkiew pod wezwaniem św. Onufrego zbudował ks. Lew Danilowicz w roku 1291. Taką przynajmniej datę mamy w falsyfikacie dokumentu założycielskiego (hramoty) z XVI w., zatwierdzonym przez Zygmunta Starego. Choć pierwszą autentyczną wzmiankę o klasztorze znajdujemy w r. 1407, w piśmie króla Jagiełły do biskupa przemyskiego i samborskiego, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że monastyr powstał jeszcze za panowania książąt ruskich. Gdy klasztor spłonął, zbudowano na jego miejscu tylko cerkiewkę św. Jana Chrzciciela, a właściwą cerkiew i monastyr postawiono z początkiem XVIII w. na dole przy gościńcu. Mała, kwadratowa cerkiewka, podobna do kościoła, dziś jeszcze stoi na górze, otoczona wokół starym cmentarzem, lecz mszę w niej odprawia się tylko raz na rok.

Nowa cerkiew i klasztor nietyle ciekawią architekturą, ile jako skarbnica pamiątek, miejsce, gdzie z wielu spalonych cerkwi okolicznych zebrano cudowne obrazy, jako muzeum, zawierające wiele cennych dokumentów, nadań królów polskich i t. p. Cerkiew w stylu romańskim zbudowana jest w kształcie równoramiennego krzyża, rzecz rzadka w okolicy, gdzie przeważają cerkwie o trzech kopułach. Pochodzi to może stąd, że budowę jej prowadzili rzemieślnicy z Krakowa, przeważnie Niemcy. Przed ołtarzem głównym z wizerunkiem św. Onufrego jest ikonostas z pięknemi carskiemi wrotami. W jednym z ołtarzy bocznych znajduje się świetnie zachowany, a wedle legendy sześć wieków mający obraz Matki Boskiej, z bogatym sznurem korali na szyi. W podziemiach cerkiewnych spoczywają zwłoki hospodarów wołoskich, oraz biskupów przemyskich i, co dziwniejsze, kijowskich, głównie z XVII i XVIII w. Lecz większy tytuł do sławy stanowi to, że tu jednocześnie z utworzeniem Collegium Nobilium przez Konarskiego stworzyli zakonnicy sławne kolegjum bazyljańskie, przemienione w 1788 r. przez rząd austrjacki na okręgową szkołę główną. Ze szkoły tej wyszło wielu ludzi, zasłużonych dla tych okolic, między nimi i wielu Polaków, bo w owych czasach jeszcze panował w kolegjum silnie duch polski.

Dziś wiele się zmieniło. Pełni bojowego animuszu Bazyljanie, którzy w XVIII w. kilkakrotnie zajeżdżali wieś biskupa przemyskiego Straszewice, uważając, że sami lepiej będą nią administrować, zajmują się dziś administracją tylko swego dużego majątku, zwłaszcza olbrzymich lasów, przynależnych do Ławrowa. Pożatem spędzają czas na łódkowanu się na ładnym stawie klasztornym i przechadzkach po pięknych lasach świerkowych, które otaczają Ławrów ze wszech stron. Ojcowie zakonni, których obecnie jest 9, prowadzą szkołę dla 32 młodych kleryków, o dwóch klasach, (humanitas i retoryka — mniej więcej poziom dwu ostatnich klas gimnazjum), których absolwenci idą na studja wyższe do monastyru w Żółkwi. W czynnościach administracyjnych, w zarządzaniu wielką bibljoteką i muzeum zakonnem pomaga 12 braciszków. Nad wszystkiem czuwa ihumen (przeor), któremu ze względu na starożytność i sławę monastyru przysługuje tytuł archimandryty.

Dr. Dan.



Ogólny widok monastyru OO. Bazyljanów w Ławrowie (powiat Sambor, województwo lwowskie).



Carskie wrota w cerkwi św. Onufrego w Ławrowie.

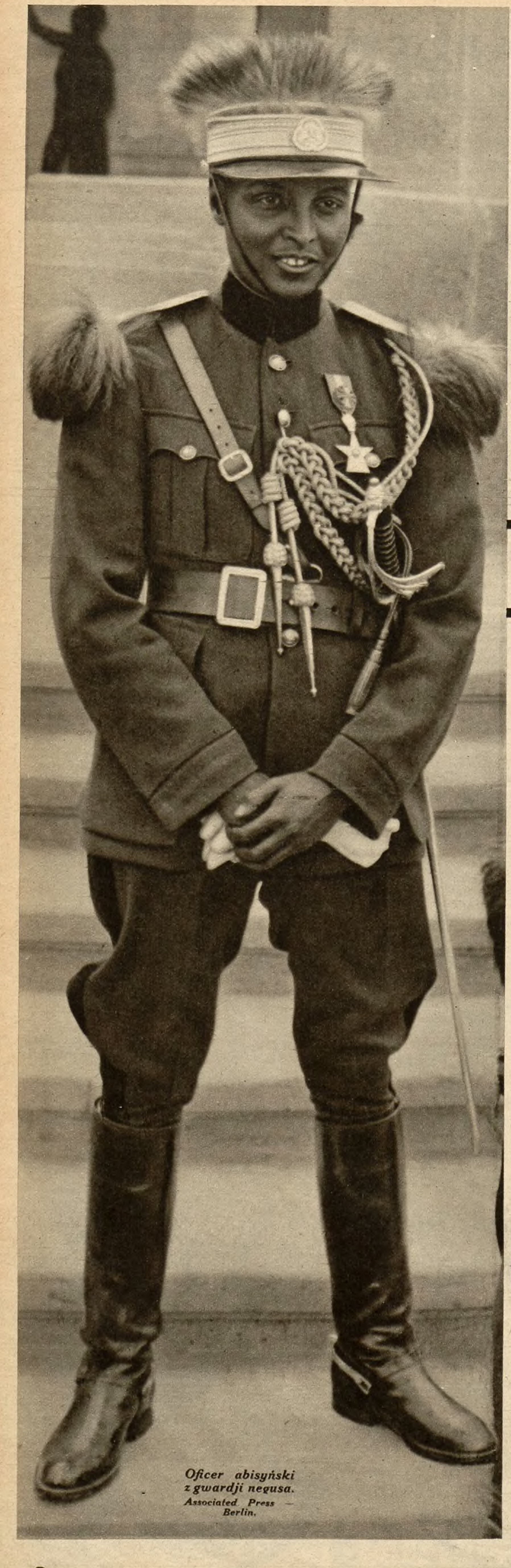


Braciszek zakonny przed cerkwią.

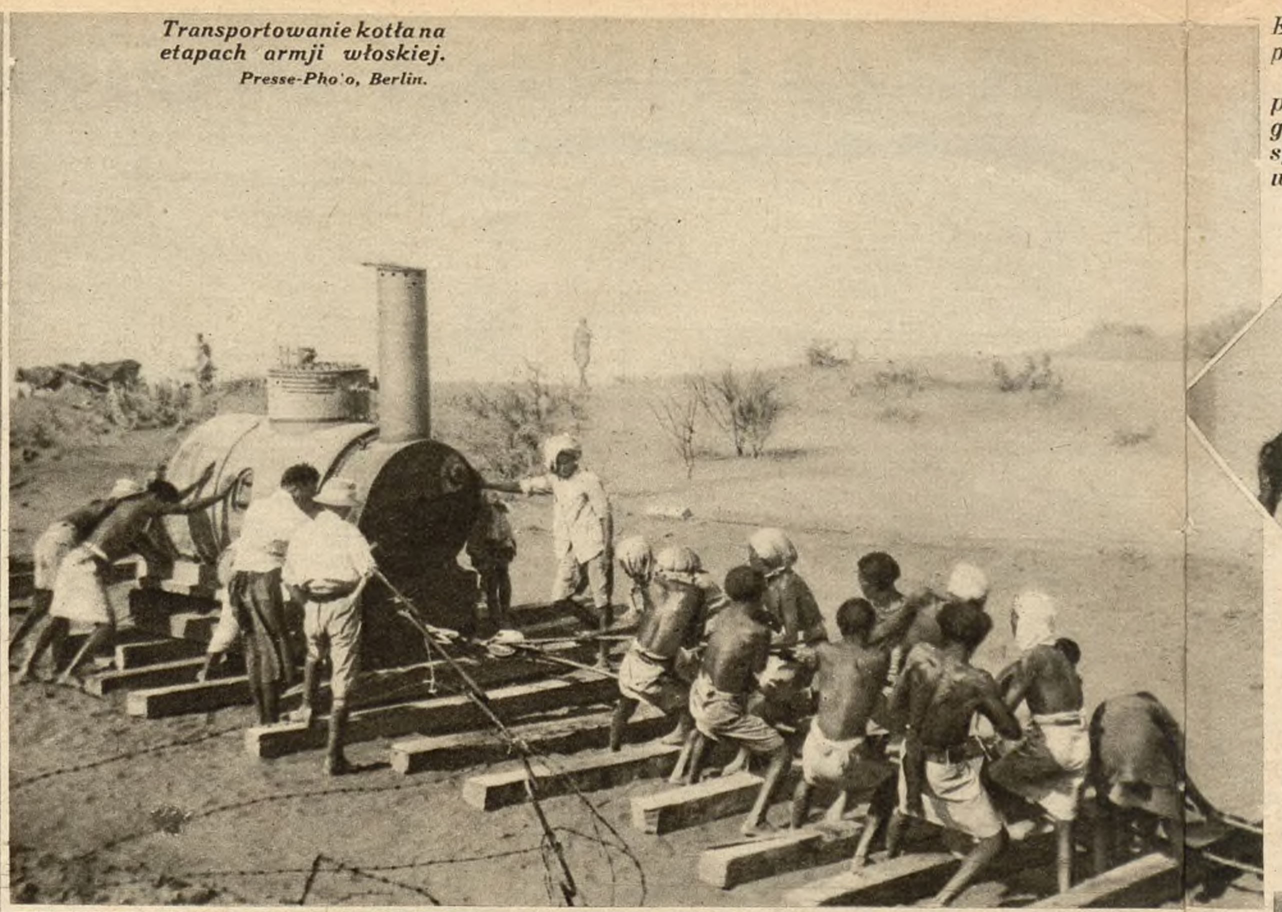
WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. L. W.



Fragment procesji w Ławrowie.



Oficer abisyński z gwardji negusa.
Associated Press — Berlin.



Transportowanie kotła na etapach armji włoskiej.
Presse-Pho'o, Berlin.



Egipska misja Czer- wonego Krzyża pod
przewodnictwem ks. Ismaila Daouda
(po lewej) i dra Ruphaela (na
prawo), która przebywała od
grudnia ub. roku w Abi-
synji, wi- dząc, że
wobec okru-
cieństw doko-
nywanych przez A-
bisyńczy ków, nie
będzie mogła spełnić swo-
ich obowiązków, odjechała z
powrotem do Egiptu.
Photo NYT — Paris.



Budowa drogi w okolicy Makalle.
Fot. Weltbild-Hörrle.

WŁOSI PANAMI CAŁEGO TEMBIENU

Podczas gdy w Europie toczy się zawzięta walka dyplomatyczna pomiędzy Rzymem a Londynem, przy wybitnym współudziale Paryża i Berlina — w Abisynji rozgrywa się dalej dramat żelaza i krwi. Co pewien czas ożywia się arena walk wzmożoną działalnością przeciwników — co pewien czas następują konieczne dla wytchnienia, zebrania sił i przegrupowania wojsk antrakty. Armja włoska posuwa się powoli lecz ustawicznie naprzód, zajmując coraz to nowe pozycje nieprzyjacielskie — a po ich zdobyciu przemienia je w silnie obwarowane twierdze. Każda z tych twierdz — to nowy punkt wypadu włoskiego na ustępującego powoli przeciwnika, w którego szeregi zakrada się coraz to większa dezorganizacja. Wodzowie abisyńscy przestają panować nad sytuacją, oficerowie europejscy w ich wojskach nie są już pewni życia, z powodu zwalania na nich przez sfanatyzowane tłumy wojowników całej winy za niepowodzenia na polach bitew, coraz częściej powtarza się okrutne maltretowanie jeńców. Z tych też powodów i cudzoziemskie misje Czerwonego Krzyża mają utrudnione zadanie i mimo swych najlepszych chęci nie mogą spełniać należycie swych obowiązków. I tak np. egipska misja Czerwonego Krzyża musiała przerwać swą działalność i powrócić do rodzinnego kraju, uniemożliwiano jej bowiem coraz bardziej normalną pracę, nie pozwalając na jednakowe traktowanie włoskich jeńców wraz z rannymi Abisyńczykami. Nawet słynny Wehib Pasza, generał turecki w służbie negusa, stracił gros swych wpływów dotychczasowych i łaskę u „króla królów". Państwo Etjopji ogarnia coraz większa anarchja — przy równoczesnem wzrastaniu wpływów poszczególnych rasów, ich ambicyj dynastycznych i wzajemnej rywalizacji.

Niedawne zwycięstwo włoskie nad Endertą, uwieńczone zdobyciem Amba Aradam oddało w ręce Włochów niezwykle ważną pozycję strategiczną — ostatnio zaś nowy sukces italski na froncie północnym zaznaczył się przedewszystkiem zdobyciem Amba Aladżi, góry silnie ufortyfikowanej i mocno bronionej przez północny front abisyński, następnie zaś kompletnem zniszczeniem armij rasów Kassy i Seyuma, operujących w pozostałej dotychczas w rękach Abisyńczyków części prowincji Tembien.

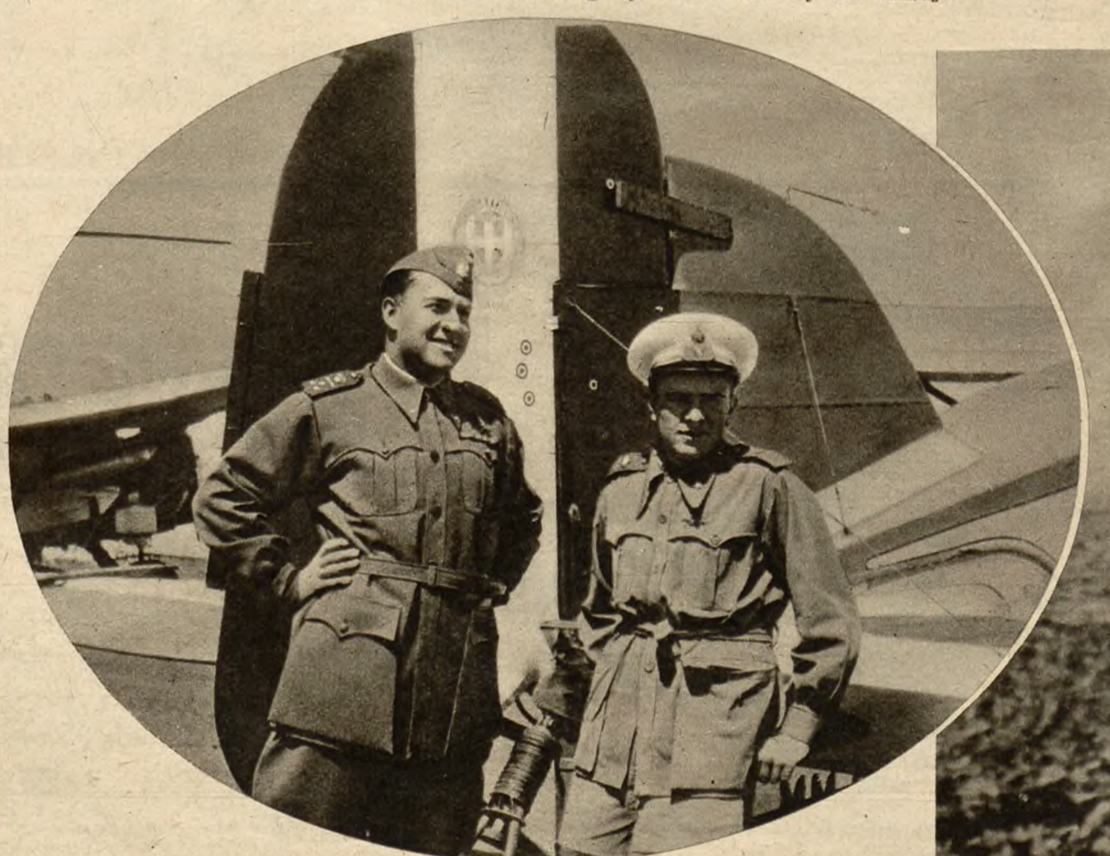
Manewr pod Amba Aladżi polegał na oskrzydleniu pozycyj abisyńskich przez lewą i prawą flankę włoskiego ataku — podczas gdy jego środek miał za zadanie zdobycie przełęczy, leżącej na wysokości 3.000 m. Zadanie to wykonały kolumny włoskie sprawnie, osiągając wszystkie punkty, wyznaczone im przez dowództwo. Część oddziałów pomaszerowała następnie za cofającymi się Abisyńczykami w kierunku południowym od Amba Aladżi, zdążając ku jezioru Aszangi i miastu Quoram.

Uzyskawszy o wiele dogodniejszą niż poprzednio pozycję — Włosi przeszli do akcji okrążania wojsk Kassy i Seyuma, co im się całkowicie udało. Brawurowym atakiem zdobyły kolumny włoskie szereg zaciekle bronionych pozycyj, walcząc bez przerwy od 27 lutego do 1 marca, który stał się dniem definitywnej klęski północnego frontu abisyńskiego. Wedle doniesień via Paryż, armji włoskiej udało się odciąć od swej bazy operacyjnej 40.000 wojowników, którzy mają znajdować się obecnie w niezwykle krytycznem położeniu. Podobno negus pośpieszał szybkiemi marszami na pomoc obu pokonanym abisyńskim wodzom, nie zdążył jednak przybyć na czas. W rezultacie cała prowincja Tembien wpadła w ręce Włochów. Tak więc rywalizacja Rasów i niewypełnianie rozkazów dowództwa abisyńskiego mści się w formie klęsk, których konsekwencje nie dadzą na siebie długo czekać. Sprzymierzeńcem jedynym w tym chaosie jest nadal tylko niezwykle ciężki teren operacyj, zmuszający Włochów do jak najdalej posuniętej ostrożności w dążeniu naprzód. Stąd też zwycięstwo ostatnie jest tylko jednym z dalszych etapów żmudnej walki na śmierć i życie, o ile naturalnie Abisyńczycy zdołają utworzyć nową linję oporu i zatrzymać na niej armję włoską do czasu przybycia posiłków i przeorganizowania na nowo frontu obrony.

A. C.



Włoski samolot bombowy w rejonie Amba Aradam.



Zięć Mussoliniego, hr. Ciano, dowódca eskadry lotniczej „La Disperata" powrócił już z urlopu na front. Na zdjęciu widzimy go (na prawo) w towarzystwie syna Mussoliniego.
Atlantic-Photo — Berlin.



Ciężka artylerja włoska bombardująca górę Amba Aladżi.
Agence „Voir", Paris.

DZIATWA WARSZAWSKA.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. „ŚWIATOWID"



Na ubogiem przedmieściu Warszawy. Świat dziecka ulicy: okienko suteren, za którem kryje się nędzna izdebka — brudne podwórze, wyłożone „kociemi łebkami".



Praca od najmłodszych prawie lat — często nieodłączny „towarzysz" dziecka przedmieścia.



Największą atrakcją dziecka ulicy, to gra w guziki, która pochłania całą jego uwagę.



„Raj dziecięcy" w ogrodzie Saskim w Warszawie: piasek, z którego fantazja beztroskiego dziecka buduje przeróżne domki, „babki" itp. akcesorja zabaw dziecięcych.



Promenada „bobasów" w Ogrodzie Saskim w Warszawie. Na dalszym planie kolumnada i część gmachu Sztabu Głównego.

Idą pod opieką mamuś i niań, postrojone w białe, różowe i niebieskie płaszczyki, kapuzy obszyte futerkiem i puszkiem łabędzim, na nóżkach mają ciepłe kamasze i śniegowczyki. Śliczne, żywe laleczki. Małe bobasy jadą w wózeczkach, przyozdobionych haftami i koronkami. Otulone w jedwabne pierzynki i kapki z białej angory, śpią rozkosznie pod czułym nadzorem troskliwej nursy.

Pełno ich we wszystkich parkach, ogrodach, zieleńcach. Najnowsze hasła zdrowotne nakazują dzieciom codzienny spacer i jaknajdłuższe przebywanie na świeżem powietrzu, bez względu na pogodę i porę roku. Więc brodzi biedna mamusia całemi godzinami w grząskiem błocie, popychając wózek ze swą pociechą, drepta w miejscu w zacisznej alei parku, przytupuje dla rozgrzania zziębniętych nóg, chucha w palce. Spogląda na zegarek... jeszcze pół godziny... Punktualnie o godzinie drugiej otrzyma osobistość, śpiąca narazie smacznie w łóżeczku, swój obiadek, składający się z przecieranej marchewki, banana i soku z pomarańczy czy grapefruitu. Wszystko dokładnie odważone i odmierzone na gramy i łyżeczki, według wskazań lekarskich. Ano, racja, musimy mieć zdrowe i jędrne pokolenie.

Jak pogoda i ciepło, to pół biedy. Mamusie i nianie obsiadają ławki parku. Gazeta, książka, ploteczki, zwierzenia...

Basia, Haneczka i Jerzyk, przystępują do ławki, na której siedzi jakaś nieznajoma dziewczynka z mamusią.

— Proszę pani — zapytują grzecznie. — Czy ta dziewczynka może się bawić z nami?

— A w co? — pyta dziewczynka.

— W „Czarnego barana".

— Nie chcę, bawmy się w „Stoi różyczka"!

Kilku chłoptasiów zaokupowało jedną z ławek. Bawią się w wojsko. Najodważniejszy stanął na poręczy i dowodzi.

— Moniuś! — woła przerażona dama w braitszwancach. — Zejdź w te chwile! Moniuś, ja cię błagam, ja cię zaklinam, zejdź! Ty chcesz spadać i rozbijać sobie główke?

— — — — — — — — —

— Moja Dzidziusia, to fenomenalny talent, to druga Lucy Szczepańska — chwali się mama w woalce nad pięknie wycieniowanemi oczami. Jak ona śpiewa, jak tańczy! No, Dzidziusia, pokaż, co umiesz, zaśpiewaj to z Rose Marie!

Dzidziusia robi poważną minkę i wyciąga fałszywym dyszkancikiem:

„O lośmali, mój flecie,
Ty pleli bujny fiecie..."

— — — — — — — — —

Ciasne, ciemne podwórko, ze ściekiem, przecinającym je brudnym strumykiem mydlin i suchotniczem drzewkiem w kącie. To także park, a jakże. Park dla dzieci mieszkańców tej koszmarnie smutnej kamienicy wielkomiejskiej, gdzie kryje się ostatnia nędza i bieda.

Feluś, Antolek i Józek grają w guziki. Każdy z nich ma po jednym metalowym guziku, wygraną stanowią wyświechtane, pozbierane z ulicy papierki z cukierków. Guzik skacze po nierównych kostkach bruku, wpada w błoto. Małym graczom to nie przeszkadza. Wydobywa się guzik z lepkiej mazi, obciera w portczęta i gra idzie dalej.

Przez szybę ze suteren spoglądają od czasu do czasu kontrolujące oczy matki. Są zatroskane, lecz pełne zadowolenia, dzieci bawią się tak grzecznie.

Przez okienko drugiej izby patrzą inne oczy, smutne i pełne łez.

— Mamusiu, ja też pójdę na podwórko bawić się — prosi żałosny głosik.

— Jak pójdziesz — słychać głos gdzieś z mroków izby. Boso? Masz buty? Czekaj z zabawą do lata. Otworzę ci okno, będziesz miała świeże powietrze!

Na koszlawych schodkach siedzi mały Stasiek. Cięży mu na główce stara ojcowska czapa. A wogóle to „lipa" i tyle. Widział na ulicy takie śliczne kolorowe baloniki... Ech, żeby to mieć taki balon, duży, czerwony... Ale kosztuje całe jedne dziesięć groszy! A mama miała dziesięć groszy i kupiła za nie na obiad chleba. Nie dała się uprosić, chć płakał i napierał się. Taki śliczny balonik!

— — — — — — — — —

Najmłodszy z kilkorga rodzeństwa Adaś, ma niespełna sześć lat, a pociecha z niego większa, niż ze wszystkich dzieci. Stoi na rogu ulicy, czapka zawadjacko nasunięta na bakier, wesoły, uśmiechnięty i wydziera się, co sił starczy:

— Świeże obwarzanki, trzy za dziesiątkę!!!

— Patrzcie, taki mały, a już handluje.

— A bo tate zataszczył glina do mamra!

— Za co?

— Tata nie miał patentu na obwarzanki. Przesiedzi się 48 godzin. Ale koszyka nie zgrandzili. Tate władza za halc, a ja z koszykiem prysnąłem!

— O, to operus pirsza klasa! — potwierdza sąsiad dorożkarz.

Basia, Dzidziusia i Jerzyk, Stasiek, Telek i Adaś, nasze kochane dzieci, dzieci wielkiego miasta.

Zofja Ordyńska.



›ZEPPELIN‹ NAD OCEANEM.

„Zeppelin“ nad „drapaczami chmur“ w Nowym Jorku, w czasie jednej ze swych podróży transatlantyckich. **Wide World Photos, Berlin.**

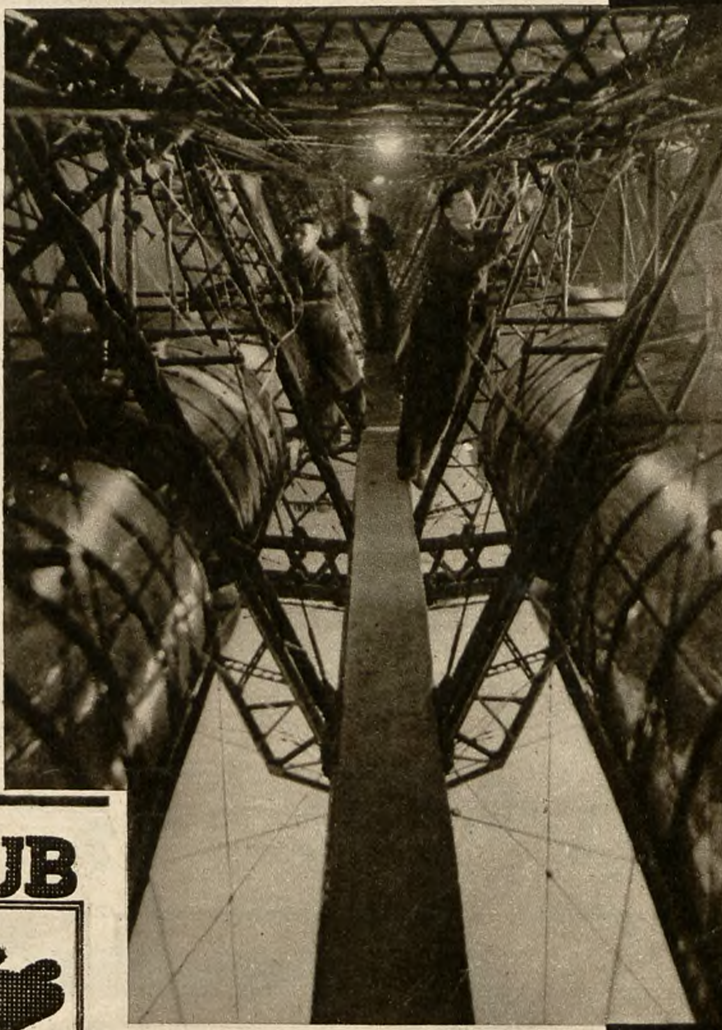
Sporo już lat minęło od czasu, gdy bliski emerytury niemiecki generał, Ferdynand hrabia von Zeppelin, Wirtemberczyk z pochodzenia, zaczął studja nad skonstruowaniem nowego typu balonów, które później nazwisko jego miały rozsławić po całym świecie. Ówczesny rząd niemiecki, tak chętnie podejmujący wszystkie militarystyczne pomysły, tym razem nie zdawał sobie sprawy z doniosłości nowego narzędzia komunikacji i... wojny. Dopiero w dziesięć lat po rozpoczęciu pierwszych prób, w r. 1908 udało się hr. Zeppelinowi, wówczas już emerytowanemu generałowi kawalerji i obciążonemu rozpoczynającym się siódmym krzyżykiem, uzyskać od parlamentu Rzeszy subwencję w wysokości coś ponad dwa miljony. Ale i wtedy jeszcze sfery oficjalne patrzyły na jego eksperyment z wyraźną nieufnością. Trzeba było dopiero katastrofy, która pod Echterdingen zniszczyła pierwszy balon Zeppelina, by drgnął nietyle rząd, ile naród niemiecki. Rozbicie się balonu uznano za klęskę narodową i natychmiast rozpoczęto po całem państwie zbierać składki na budowanie nowego sterowca. Gdy niedawno temu rząd niemiecki ledwo dał z siebie wydusić dwa miljony marek, teraz naród niemiecki w krótkim stosunkowo czasie zebrał zgórą sześć miljonów i wręczył je hr. Zeppelinowi z przeznaczeniem nietylko na budowę nowego balonu, ale i na stworzenie stałego ośrodka dalszych badań i prób.

W dwa lata potem wzniósł się w powietrze pierwszy „Zeppelin“, nazwany „Deutschland“. W wojnie światowej okazał się ten typ balonu coprawda na razie za ciężki: napad powietrzny na Anglję w r. 1915 nie przyniósł pożądanych dla Niemców wyników. Mimo to jednak nie zaprzestano dalszego udoskonalania tego systemu. Traktat wersalski zakazał wprawdzie Niemcom budowania wszelkiego rodzaju wojskowych aparatów powietrznych, ale poradzono sobie z tym zakazem, konstruując „Zeppeliny“ jako aparaty, służące pokojowej komunikacji zamorskiej. A że tam taki niewinny pokojowy „Zeppelin“ da się i łatwo i szybko zamienić na balon wojskowy, tego twórcy traktatu pokojowego — jak i wielu innych rzeczy — nie przewidzieli.

Od zakończenia wojny światowej zaczynają się zakrojone na wielkie rozmiary zamorskie podróże „Zeppelinów“, to do Afryki, to do Ameryki, czasem aż do Australji. — Organizowane z zastosowaniem dużego aparatu propagandowego, w czem Niemcy przed Hitlerem, a zwłaszcza obecnie celują, podróże te przemieniały się w manifestacje triumfu techniki niemieckiej. Lądujące w zamorskich krainach balony, witane były na miejscu hucznie i szumnie, a radjo niemieckie ich sukcesy rozgłaszało na cały świat. Ostatnim, najnowszym rekordem jest podjęcie komunikacji transatlantyckiej przez nowy, olbrzymi balon „LZ 129“. Na koniec marca zapowiedziane jest otwarcie wielkiego lotniska we Frankfurcie nad Menem i pierwszy start nowego „Zeppelina“ do Rio de Janeiro. Stąd będą podejmowane starty do Ameryki Północnej, mające za cel urządzenie regularnej komunikacji powietrznej pomiędzy Europą a Stanami Zjednoczonemi. Lot z Frankfurtu do Lakehurst (pod Nowy Jorkiem) potrwa trzy dni — powrotna podróż do Europy skróci ten czas jeszcze o pół dnia. W ten sposób ktoś, komu się bardzo śpieszy, będzie mógł w przeciągu tygodnia polecieć z Europy do Nowego Jorku, załatwić tutaj interesy i wrócić do starego kontynentu, nie zmarnowawszy na to wszystko nawet całego tygodnia. Ile to będzie kosztować? Z Frankfurtu do Rio de Janeiro 1.500 marek, do Lakehurst „tylko“ 1.000 marek. Przy „dobrym“ interesie amerykańskim taka „bagatelka“ nie ma znaczenia...



Ostatnie prace na nowem lotnisku pod Frankfurtem: lakierowanie żelaznej konstrukcji gmachu dyrekcji. **Presse-Ph., Berlin.**



Wśród konstrukcyj metalowych nowego balonu „LZ, 129“. **Keystone, Berlin.**

MARSZ NARCIARSKI ZUŁÓW-WILNO



Na trasie marszu narciarskiego Zułów — Wilno.
Fot. Jarosław Niecieck̀i Wilno.

Zułów, to mały zaścianek szlachecki, położony o 90 kilometrów na północ od Wilna. W zaścianku tym przyszedł na świat Wódz Narodu, Marszałek Józef Piłsudski.

W ubiegłym tygodniu odbyła się tam wielka uroczystość hołdownicza. Narciarstwo Polskie składało hołd pamięci Marszałkowi. Do Zułowa przybyło przeszło 200 zawodników, przyjechał prezes PZN min. A. Bobkowski i wielu zaproszonych gości na inaugurację marszu narciarskiego Szlakiem Marszałka J. Piłsudskiego.

Obok trzech skromnych chatyn na cokole z lodu, w miejscu, gdzie stał dom Marszałka, ustawiono Jego popiersie.

Przemawiał prezes Bobkowski, poczem orkiestra odegrała Pierwszą Brygadę. Zwycięstwo przypadło drużynie „Strzelca" z Zakopanego, którą prowadził Olimpijczyk Karpiel. Drugie miejsce zdobyła drużyna Przysposobienia Wojskowego Leśników ze Lwowa, w skład której wchodził znany narciarz polski Władysław Suleja.

Trzecie miejsce wywalczył sobie patrol Związku Rezerwistów, czwarte zaś drużyna wileńskiego Ogniska KPW, która była owacyjnie witana na wszystkich punktach kontrolnych i metach poszczególnych etapów.

Po ukończeniu biegu nastąpiło uroczyste rozdanie nagród, ufundowanych przez p. premjera Kościałkowskiego, min. Kasprzyckiego, wojew. Bociańskiego, Związek Rezerwistów, PZN, Komendę Gł. Zw. Strzel. i innych.

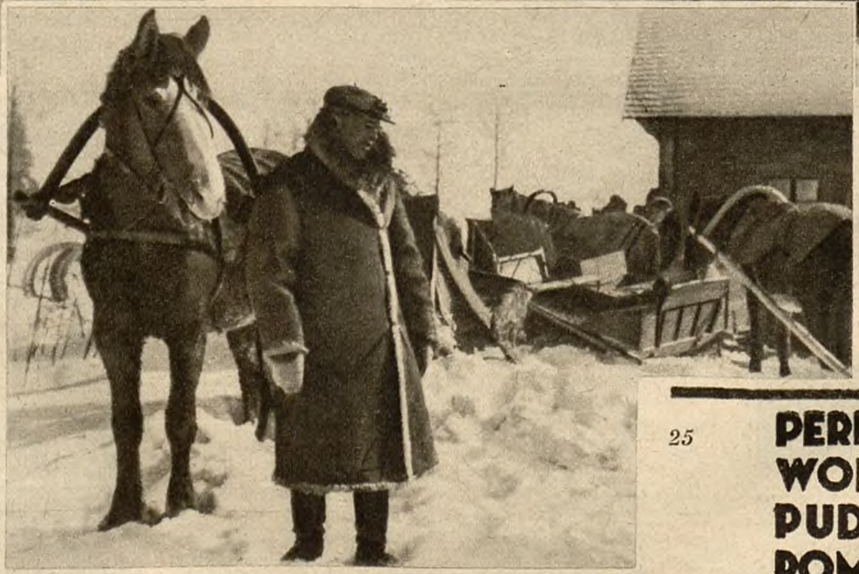
J. Nieciecki.



Prezes Polskiego Związku Narciarskiego, wiceminister komunikacji Bobkowski wygłasza przemówienie przed popiersiem Marszałka Piłsudskiego w Zułowie.
Fot. L. Siemaszko, Wilno.



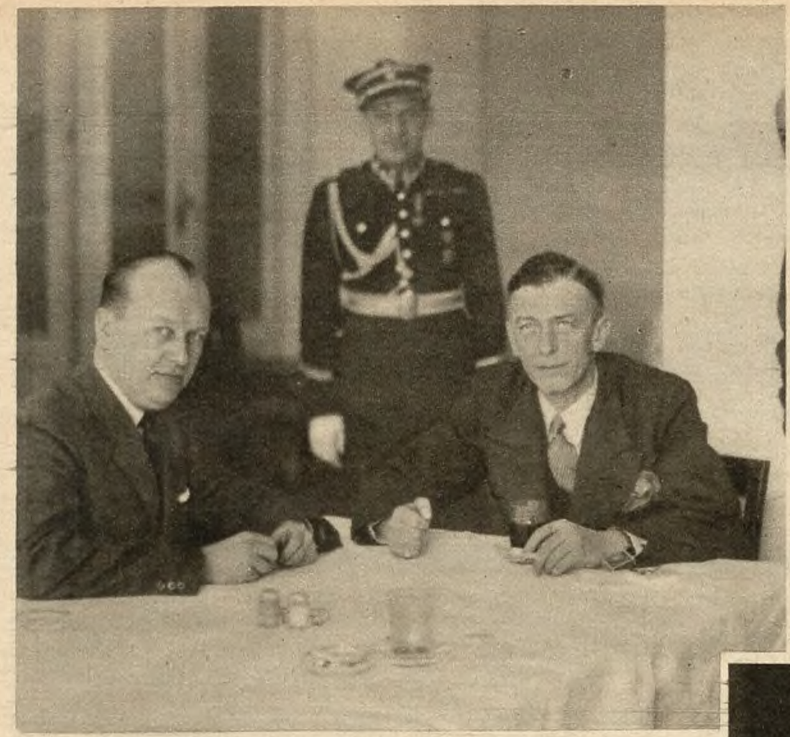
Publiczność na trasie w Zułowie.
Fot. L. Siemaszko, Wilno.



Chłopi z okolicznych wsi przybyli licznie do Zułowa, aby przypatrzyć się zawodom narciarskim.
Fot. L. Siemaszko, Wilno.

MIGAWKI SEJMOWE

WSZYSTKIE ZDJĘCIA AG. FOT. ŚWIATOWID



Poseł Kozicki (po prawej), którego zarzuty przeciwko gospodarce w lasach państwowych odbiły się głośnem echem w kraju.

Kto bywał w dawnym Sejmie i obserwował życie kuluarowe, tego obecnie uderzy różnica w jego tętnie. Zniknęły kluby, zniknął na sali podział na lewicę, prawicę i centrum, a w kuluarach posłowie nie chodzą grupami partyjnemi, lecz, jak rozbite stado kuropatw, w pojedynkę, zwołując się i szukając kontaktu.

W odróżnieniu od typowo „parlamentarnego" sejmu stronnictw, mamy obecnie sejm ludzi pojedyńczych, reprezentujących tylko swoje okręgi, a nie programy polityczne. Mimo to jednak tworzą się już jakieś „wspólnoty interesów" i powoli zaczyna się wykluwać z dotychczasowego chaosu wyraźniejsze oblicze Sejmu i Senatu.



Minister Beck w bufecie sejmowym.



Minister Spraw Wewnętrznych Raczkiewicz w rozmowie z posłami żydowskimi, interpelującymi go w sprawie uboju rytualnego.

Sesja obecna, poświęcona budżetowi, obfitowała w szereg wystąpień indywidualnych, niekiedy bardzo mocnych, a nawet mających posmak sensacji. Zarówno p. premjer Kościałkowski, jak i wicepremjer inż. Kwiatkowski nie wahali się przedstawić „rzeczywistej rzeczywistości", tak, jak się ona naprawdę przedstawia, bez oficjalnego retuszu, który sprawy zawsze zaciemnia.

Posłowie znowu po męsku wytykali usterki naszej administracji, wskazywali na bolączki szarego człowieka, nie żałowali nawet mocnych słów, apelowali o poprawę. Ze szczególnem zainteresowaniem słuchano przemówień posła gen. Żeligowskiego, posła Kozickiego i generalnego referenta budżetowego Miedzińskiego.



Premjer Marjan Zyndram-Kościałkowski w rozmowie z posłem gen. Żeligowskim (Wilno), który energicznemi wystąpieniami w obronie drobnych rolników zyskał sobie wielką popularność.



Wicemarszałek dr. Byrka (pierwszy od lewej), przewodniczący sejmowej komisji budżetowej.

Wicemarszałek dr Byrka przewodniczył jak zwykle doskonale, poskramiając zapędy oratorskie na komisji budżetowej. W bufecie było zawsze rojno i gwarno, w kuluarach także. Największą sensacją ostatniej sesji był wniosek posłanki Prystorowej w sprawie zniesienia uboju rytualnego. Wejdzie on pod obrady komisji w najbliższych dniach.

Czeka nas piękna symfonja barw.



Komplet popołudniowy z wełny w kolorach brązowym i żółtym.



Na prawo: Sukienka z granatowej crepe de chine, wyszywanej w deseń białym szutaszem.

Gdy w krainie bajki śnieżno-słonecznej zaczyna swe panowanie wiosna górska, nie wszystkim jeszcze znana, a jakże porywająca w rześkim powietrzu, bez dymu i pyłu naszych miast, witamy po wystawach sklepowych inną wiosnę, oczekiwaną również corocznie przez świat kobiecy. To moda wiosenna tak nas kokietuje z poza lustrzanych szyb magazynów, przygotowujących długo i pracowicie nowości nadchodzącego sezonu.

Już same hasła wiosennej mody nęcą nas swą wymową.

A więc przedewszystkiem czeka nas piękna symfonja barw. Mnóstwo materjałów wzorzystych. I to zupełnie innych, aniżeli te, do których już przywykłyśmy. Jeżeli desenie są kwiatowe, to wyglądają tak artystycznie, że wprost rywalizują z malarstwem. Ale wzory są bardzo urozmaicone. To nietylko kwiaty, lub geometryczne zygzaki. Widzimy na nich zwierzęta mniejsze lub większe, aż nawet do żyrafy czy słonia. Na innych materjałach instrumenty muzyczne, klucze na pięciolinji lub bez niej, wreszcie nawet litery alfabetu, pomysłowo układane w swoistego rodzaju wzory.

Czy ujrzymy je szybko u nas, to rzecz inna. W każdym razie lansuje te materjały już dziś moda paryska, dbająca usilnie o prymat artyzmu i nowości.

Poza materjałami wzorzystemi pozostaną w dużem użyciu materje gładkie, a połączone z sobą w interesujące komplety, tworzą jeszcze więcej pożądanych nowości.

Na pierwsze dni cieplejsze nieocenione usługi oddaje trzyczęściowy kostjum (spódniczka, żakiet i półdługi płaszczyk). Kapelusz, buciki, torebka, rękawiczki, pończoszki, wszystko sharmonizowane w jednym kolorze, a tylko bluza odbija innym materjałem i barwą.

Dużo mamy do wyboru białych drobiazgów do ożywienia całości ubioru, czy to koło szyi, czy u rękawów.

Jednem słowem wszystkie zapowiedzi wiosenne świadczyć się zdają o nadchodzącej modzie jak najkorzystniej. Bogactwo jej repertuaru jest w każdym razie zachwycające. **Zet.**



Wełniany lekki kostjum w krateczkę szaro beige. Kapelusz panama.



W kole: Miły model kapelusza z czarnej wstążki ciré, przybrany białą różą.



Na prawo: Komplet z marocain czarno-białej, na czarnym spodzie i z czarnemi wyszyciami.